

WALKA IDEOLOGII A KULTURA

Obejrzeć dobry film w naszej telewizji nie jest zbyt łatwe. Po prostu dobrych filmów pokazuje się tam mało. A te wartościowe są tak słabo reklamowane, że przeciętny telewizor, nie mający rozeznania w kinematografii, łatwo je może prze-gapić. Dobrych filmów w tv jest mało, lecz warto wiedzieć, że w naszej sytuacji nie może być dużo lepiej. Chyba, żeby czas tv wypełnił w większym stopniu inne programy niż filmowe. Ale tak być nie może, bowiem rodmuchaliśmy program tv znacznie ponad nasze aktualne możliwości techniczno-produkcyjne. Teraz trudno się z istniejącej sytuacji wycofać (próbowano: lawina listów od widzów z gwałtownymi protestami zmusiła do powrotu na stare pozycje). Łata się więc program nadal filmami. Stąd owe słynne już 1000 godzin kina rocznie, czego być może, nie ma żadna telewizja świata, oczywiście biorąc pod uwagę proporcje ilościowe filmu do innych programów tv.

Zaczeliśmy produkcję tzw. seriali czyli filmów seryjnych tv. Produkcujemy ich już na 40 godzin rocznie, jesteśmy pionierami tego gatunku w krajach socjalistycznych. Można by się śmiać z tych 40 godzin. Nie śmiejemy się, niektóre zamożne kraje kapitalistyczne, które wprowadziły telewizję znacznie wcześniej od nas, też sobie dotąd z produkcją filmową dla tv nie poradziły. Na zachodzie rozwinięta w części na niezłym poziomie artystycznym produkcja filmów telewizyjnych posiadają jedynie USA. Potem jeszcze liczy się — ale oczywiście ilościowo znacznie słabiej — Anglia. Inne serie, niezbyt liczne, grzeszą już słabizną artystyczną, o czym każdy telewizor miał okazję się przekonać.

Wiem może by kupować u Amerykanów? Tam i warunki finansowe dalałyby się może wytargować nie najgorzej... Ba, jest w czym wybierać! Seriale na temat „czerwonego niebezpieczeństwa” i komunistycznych agentów, zagrażających „twierdzy wolnego świata” — produkowane są tam taśmowo.

Otóż to! Sedno w tym właśnie, że w USA jak nigdzie na zachodzie, poza NRF kultura — w tym oczywiście kinematografia — stanowi jedno z głównych narzędzi wojny psychologicznej prowadzonej przeciw socjalizmowi od lat i ciągle wzmaganej.

Niezliczone seriale made in USA tak są przepojone walką z komunizmem (zwłaszcza te dramatyczne najbardziej atrakcyjne — o walce wywiadów, o szpiegostwie itp.), że trudno sobie wyobrazić ich kolportowanie u nas. To przy pomocy tego typu twórczości społeczeństwo amerykańskie w ogromnej większości jest już tak otumanione, że ma całkowicie wypaczony obraz życia w krajach socjalistycznych. Nie będzie mu tu dodatkowo rozstrząsać takiego drobniaczka jak propagowanie specyficznego stylu życia, obcego naszym

ideałom, co widać nawet w tych filmach, które przechodzą na ekrany naszych kin i tv. I tak oto ideologia antykomunizmu wkracza w dziedzinę kultury, uniemożliwia wymianę.

Wymiany są zresztą różne. Mogą być wymiany filmów, mogą być także wymiany ludzi. Sporo ludzi od nas jeździ na zachód, sporo właśnie stamtąd płynnie zaproszeń. Zwłaszcza zaproszeń dla artystów, intelektualistów. Różne są motywy tych zaproszeń, różne i bardzo niekiedy charakterystyczne adresy, na które płyną zaproszenia. Oczywiście, wymiana jako taka jest czymś na ogół pożądanym, godnym poparcia. Kłody jednak polskim artystom płaci się szczególnie wysokie honoraria, po czym daje wyraźnie do zrozumienia, że tak oto w kraju kapitalistycznym ceni się artystę, nie to co tam w socjalizmie — wtedy już jesteśmy w domu. Wiemy o co chodzi. Wojna psychologiczna w specyficznym wydaniu. Specjaliści od wojny psychologicznej, specje od antykomunizmu rozumują następująco: — Niech wraca do swojego kraju, niech się chwali, niech się niezdowolenie. To nam się bardzo opłaci, choć byśmy zapłacili polskiemu twórcy jeszcze parę razy więcej.

Bywają naiwni, którzy polykają ten haczyk. Nie zastanawiają się, że te wysokie honoraria płaci się w krajach, które utoczyły się na dziesiątki lat trwającym wyzysku innych narodów. że kraje te i dzisiaj ciągną potworny haracz ze swoich byłych kolonii, czy krajów zafolowanych, w których ulokowano sówicie procentuacje kapitału, że więc mogą sobie pozwolić na te wydatki, zwłaszcza, gdy ich cel jest tak wyraźny.

Nie można tu, rzecz jasna, generalizować. Nasi artyści zarabiają za granicą dużo, bo reprezentują na ogół wysoką klasę, naiwnych zaś wśród nich nie ma zbyt wielu. Z koleji ci, co płacą i zapraszają, nie zawsze mają wręcz intencje. Zresztą intencje te zakamuflowane są na tyle, że nieraz niełatwo je jasno uchwycić i sprecyzować. Tak jak np. w wypadkach, gdy pewne przejawy działalności któregoś z naszych twórców spotykają się z autorytatywną krytyką u nas w kraju, to od razu syją się na niego, gdy rzecz stanie się znana, stosy zaproszeń od różnych instytucji, organizacji, czy osób prywatnych z zachodu.

Bywa, że w stosunku do Polski stosuje się specjalne kryteria: gdy np. na światową wystawę w Montreale wysyłano do poszczególnych krajów zaproszenia bezimiennie, by tam na miejscu zdecydowano w związkach twórczych komu powinien przypaść zaszczyt wyjazdu — dla Polski zaproszenia były imienne. Dziwnym trafem adresowane do ludzi, którzy akurat zostali poddani pryncypialnej krytyce. To jest też jedna z metod, tak się również w

Głos tygodnia

DOBĄTEK GŁOSU WIELKOPOLSKIEGO

Nr 292 4. VI. 1967 Rok VII.

praktyce przejawia to, co na VIII Plenum KC PZPR w referacie zostało ujęte zwięźle: „W swej walce z socjalizmem kierownicze koła USA nadają coraz większą rangę wojnie psychologicznej przeciw krajom socjalistycznym oraz ruchowi komunistycznemu i socjalistycznemu w całym świecie”.

Bywają oczywiście — i wcale nie tak rzadko — sytuacje odwrotne. Organizuje się gdzieś tam na zachodzie jakieś międzynarodowe zjazdy, jakieś spotkania o charakterze z pozoru otwartym, dla każdego dostępne. Chcemy wziąć w nich udział, wydaje nam się to potrzebne. Wtedy stwarza się nam takie warunki, by maksymalnie obryzdyć nam chęć uczestnictwa, by nasz udział uniemożliwić. Albowiem dobrze rozumieją specje od antykomunizmu atrakcyjność wielu rozwiązań naszej koncepcji organizacji świata i naszego stylu życia. I boją się abyśmy przypadkiem kogoś tam nie przekonali, abyśmy nie posiali wątpliwości w słuszność amerykańskiego stylu życia.

Budują więc bariery bardzo starannie, bardzo misternie. Nie tylko wobec ludzi, lecz także wobec dzieł. Chętnie więc na zachodzie będzie się przekładać i nadawać rozgłos pracom, w których zawarta jest jakakolwiek krytyka stosunków społecznych w socjalizmie, pominię się natomiast dzieła — choćby najwyższej rangi artystycznej — których wymowa jest dla socjalizmu pozytywna. Klasycznym przykładem było przyznawanie literackiej nagrody Nobla Szołochowowi. Jakże późno to nastąpiło. No i dopiero po Paster-naku!

Mówił na VIII Plenum Zenon Kliszko: „Główny cel wojny psychologicznej nie sprowadza się tylko do wybielania imperializmu i atakowania polityki socjalistycznej. Obliczona jest ona na współdziałanie z określonymi tendencjami politycznymi w naszym kraju; zarówno z tymi, które atakują socjalizm i władzę ludową z otwarcie wrogich, reakcyjnych pozycji, jak i z tymi, które z pozycji rewizjonistycznych i liberalno-mieszczaniskich, czy nacjonalistycznych, godzą w kierowniczą rolę partii, w demokrację socjalistyczną i w nasze sojusze międzynarodowe”.

Naszym ideologicznym przeciwnikom idzie między innymi o wygranie niezadowolonych, o kaptowanie ich na swoją stronę. Szukają ich oczywiście wszędzie. Najczęściej chyba jednak w dziedzinie kultury. Na tym też terenie trzeba być specjalnie wytężonym na ideologiczną penetrację przeciwnika.

JEDEN Z WIELU POLAKÓW

WMosinie przy ulicy Czarneckiego 6 mieszka osiemdziesięcioletni dziś Kuźma Michałowski. Przed pięćdziesięciu laty jako dojrzały mężczyzna brał on czynny udział w Wielkiej Rewolucji Październikowej w ustanawianiu i obronie władzy radzieckiej; Był jednym z wielu Polaków, którzy uczestniczyli w Rewolucji. Wydarzenia sprzed pół wieku zachowały się dobrze w jego pamięci.

Do wybuchu pierwszej wojny światowej Michałowski pracował jako ślusarz w fabryce kotłów parowych w Mińsku. Przedrewolucyjny wegetujący Mińsk w niczym nie przypominał dzisiejszej stolicy Białorusi. Na około 2600 robotników zatrudnionych w całym mińskim przemyśle przypadało 520 duchownych różnych wyznań — popów, diaków, księży, rabinów. Nie było w mieście żadnej szkoły wyższej...

Gdy wybuchła wojna Michałowski został zmobilizowany i wysłany na front w składzie Kaporskiego pułku piechoty. Carska armia podejmowała ofensywy, cofała się, ponosiła klęski. Miliony ludzi znajdowało śmierć na polach bitew rozpętanej przez imperializm wojny. A równocześnie wśród rosyjskich żołnierzy coraz większy posłuch i poparcie zyskiwały rewolucyjne hasła.

Właśnie w szeregach wojska zetknął się po raz pierwszy Michałowski z działalnością bolszewików. Ale do czynnego działania porwała go — tak jak wielu uczestników Rewolucji Październikowej — dopiero rewolucyjna fala, która podniosła się w Rosji po obaleniu caratu. Tej fali na próżno starali się zagrozić drogę Kiereński i jego rząd.

W czerwcu 1917 roku w ramach wyborów delegatów robotniczych i żołnierskich (Deputatów Trudiasz czyhsia i Soldatów) na zjeździe w Pskowie, dokąd zjechali się przedstawiciele z obwodów piotrogrodzkiego, nowogrodzkiego i pskowskiego — Michałowski, jako delegat żołnierzy Kaporskiego pułku — zostaje wybrany członkiem Komitetu Wykonawczego pod nazwą „Iskoborsiew”.

Przewodniczącym Komitetu został mieniszewik Sieriebranikow, zastępcą bolszewik Łotysz-Lejkier. — Na zjeździe — wspomina Michałowski — byli reprezentowane różne ugrupowania polityczne, ja należałem do frakcji bolszewików. Po wybraniu mnie na członka Komitetu Wykonawczego zostałem już w Pskowie, pracując w sekcji agitacji i propagandy. Do zadań tej sekcji należało przeprowadzanie wykładów i organizowanie spotkań ze społeczeństwem, wyjaśnianie celów rewolucji oraz sposobów jej przeprowadzenia.

Po wybuchu Wielkiej Rewolucji Październikowej i obaleniu rządu Kiereńskiego w „Iskoborsiewie” doszło do rozłamu. Miejszewicy i delegaci partii burżuazyjnych zostali przez większość usunięci. W komi-



Kuźma Michałowski
Fot. — K. Przychodźki

tecie liczącym poprzednio 80 osób pozostało 50. Nazwa komitetu została zmieniona na „Wierchosiew” (Wierchowny Sowiet Siewiernego Fronta). Kiedy na rewolucyjny Piotrogrod zaczęły ciągnąć dywizje pod dowództwem generała Kornilowa, aby zdusić płomień rewolucji — członkowie „Wierchosiewu” otrzymali polecenie ob-sadzenia wszystkich stacji kolejowych od Witebska do Piotro-

gradu i zatrzymywania wszelkimi sposobami transportów z wojskiem. Nawiazywano kontakty z komendantami pociągów, przeprowadzano masówki i wiece mające uświadomić żołnierzom o bezsensowności i szkodliwości zbrojnego pochodu na Piotrogrod, pochodzą pod wodzą kontrrewolucyjnych generałów. Ja zostałem skierowany, wraz z odpowiednimi pełnomocnictwami, do Połocka nad Dźwiną. Spowodowałem tu zatrzymanie transportu dywizji kawalerii ciągnącej na Leningrad w zestawach pięciu pociągów. Przeprowadziłem z żołnierzami burzliwy wiec, a dywizja powróciła na front południowy.

Po tym najbardziej dramatycznym momencie rewolucyjnej działalności Michałowskiego wraca on do Pskowa. Ale człowieka, który udo-wodnił, że potrafi nawiązywać kontakt z masami i wykazywać dużo własnej inicjatywy — czekają już nowe zadania. Oddajmy znowu głos weteranowi rewolucji.

— Pod koniec listopada 1917 r. otrzymaliśmy w „Wierchosiewie” list od członków naszej partii, byłych żołnierzy 12 Armii, którzy zawiadamiali, że w ich odległym powiecie — Ustiużynie nie ma dotychczas władzy rewolucyjnej, a rządy przechwyciła burżuazyjna „Partia Narodowej Swobody”.

Pamiętam nawet nazwiska autorów listu: Nowikow i Fiedorow. „Wierchosiew” skierował mnie do Ustiużyna z pełnomocnictwem zlikwidowania tu, przy pomocy miejscowych członków partii — władzy kapitalistycznej. Udałem się z tym pełnomocnictwem najpierw do Piotrogradu, do Pałacu Zimowego, gdzie moje pełnomocnictwo zostało potwierdzone a następnie do Ustiużyna. Ówczesny Ustiużyn był 35-tyśięcynnym miasteczkiem leżącym nad rzeką Małogą, około 90 km od stacji Bobajewa. W drogę zabrałem dwa pistolety, ale dyrektywy nakazywały opanowanie władzy w mieście możliwie bez rozlewu krwi.

Przyjechałem do Ustiużyna furmanką w srożącą się zawięję. Odnalazłem żołnierzy — autorów listu i poleciłem im zorganizowanie na wieczór następnego dnia grupy zaufanych ludzi. Udało mi się namówić komendanta miejscowego Wójjenkomatu kapitana Kuźmina, aby oddał mi klucze od magazynów uzbrojenia. W nocy z grupą towarzyszy sprowadzonych przez Fiedorowa i Nowikowa zdaliśmy poste-

Dokończenie na str. 2

Eugeniusz Coffa

Zapiski opolskie

Spełnione marzenia

le za poznaniaka. Choć teskniał za miastem młodości i prawniczych studiów, z równie pełną dumą satysfakcją mówi o wszystkim, co dotyczy jego obecnej „ojczyzny”. Pasionuje go wszystko, co dotyczy zarówno przeszłości tego miasta, jak i jego teraźniejszości. O jednym i o drugim określił ma wiele do powiedzenia.

— Był pan w Ratuszu? Pokazano panu może tę niewielką, marmurową tablicę, jaką wmurowano tuż obok głównego wejścia do gmachu? Gdy tylko skinie niem głowy udzieliłem twierdzącej odpowiedzi, niezwłocznie roztoczył przede mną interesujące szczegóły pewnego wydarzenia.

Tragedia zdarzyła się 23 kwietnia 1929 roku. W sali opolskiego Ratu-

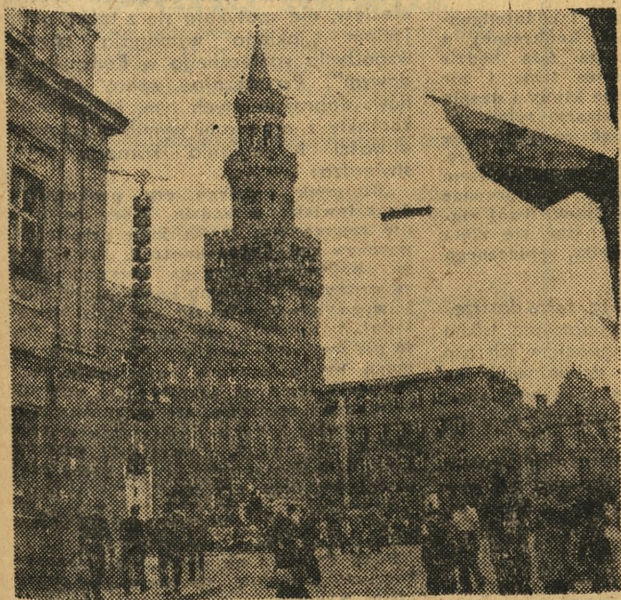
sza, jedynej widowiskowej wówczas w mieście, Teatr Polski z Katowic dawał przedstawienie moniuszkowskiej „Halki”. Widownia wypełniona była po brzegi. Jak w raporcie do miejscowego komisarza policji pisał niemiecki szpicel, który — udając Polaka — przeszwarował się do sali, „zjechało się na przedstawienie mnóstwo Polactwa z całej okolicy Opola”. Ale w czasie, gdy na scenie rozstrzygały się losy Halki, przed gmachem rósł tłum szowinistycznie nastrojonych Niemców, uzbrojonych w pałki. Skoro tylko przedstawienie dobiegło końca i widzowie zaczęli wylegać na ulicę, rozległy się złowieszcze okrzyki: „Bij Polaków!”. To był ciąg dalszy prowokacji dwu wyrostków, wszczętej jeszcze w czasie przedstawienia; rzucili w artystów dwie cuchnące bomby. Teraz miały się rozegrać inne sceny, skierowane wyłącznie przeciwko polskim artystom z Katowic.

Nie pomogły inne, boczne wyjścia z gmachu. Nacjonalistyczni bojówkarze i tam dopadli swe ofiary. Goniono aktorów do samego dworca i niektórych bito jeszcze w tunelu. Jak pisał kilka dni później polskie „Nowiny Codzienne” wielu aktorów odniosło poważne obrażenia. Szereg

Niezbyt rozległe jest centrum Opola. Buszującemu dziennikarzowi wystarczy przełazić by „per pedes” pokonywać nieznaczne odległości. Niemniej — po kilku godzinach dreptania z jednego krańca centrum na drugi — z zadowoleniem zająłem miejsce w wygodnym fotelu podejmującego mnie w swym domu p. Leonarda O.

Pamiętny dzień

W Opolu mieszka od tuż po wojnie, ale z legitymacją uważa się sta-



... Był Pan w Ratuszu? ...

Fot. CAF — Okoński

Wyznania i przestrogi

Przy końcu ubiegłego roku ukazał się w „Czytelniku” zbiór nowych utworów poetyckich Kazimierza Iłakowiczówny „Szeptem”, który — mimo swego skromnego tytułu — stał się już przedmiotem prasowej kontrowersji. Słowem — stał się głośny w całym kraju.

Nowy zbiór poezji Kazimierzy Iłakowiczówny „Szeptem” jest swego rodzaju nowym zjawiskiem a tymczasem. Nowości tej trudno jednak dopatrywać się w zestawieniach z najnowszymi poszukiwaniami współczesnych poetów, można ją natomiast odnaleźć bez trudu przez porównanie z całym wcześniejszym dorobkiem twórczym poetki.

Toteż tom „Szeptem” — choćby przez sam fakt uwzględnienia wszystkich dotychczasowych kierunków zainteresowań i poszukiwań poetki Iłakowiczówny — stanowi dalsze potwierdzenie indywidualności poezji autorki „Koled polskiej biedy”, „Rymów dziecięcych”, „Ballad bohaterów” i „Portretów imion”, indywidualności wyraźnie zaznaczonej na tle kilku dziesiątków lat literatury polskiej, jako też tych nurtów naszej literackiej tradycji, które połączyły ją w przeszłości z mitologią i wytworami kultury śródziemnomorskiej.

Iłakowiczówna nawiązuje jednakże twórczo nie tyle do tradycyjnych form klasycystycznych, ile do wiecznie trwałych treści humanistycznych, wzbogaconych o indywidualne doświadczenie całego życia poetki. Zakorzenione w polskim krajoznawstwie, wnoszące do wrażliwości współczesnych ludzi niezmierną skalę uczuć uszlachetniających.

Poezja Kazimierzy Iłakowiczówny miała zresztą zawsze na uwadze poprawianie natury człowieczej.

Ale sam ten jeden szczegół — owa dążność do poprawiania natury człowieka i owo kobiece zamiłowanie do ładu i piękna w najbliższym otoczeniu — stawała się zawsze Iłakowiczówną na pozycjach nonkonformistycznych. Stwarzała ona własny świat poezji, w którym naczelną miejscę przypadało kondycji moralnej człowieka i postrzeganiu przedmiotów.

Z tych też — ukształtowanych już na początku życia — przekonań poetki wywodzi się między innymi jej twórczość dla dzieci, traktowana jako jedna z szans szerokości i zwieźności lirycznych. Należy przy tym podkreślić, że w twórczości tej, aż do ostatecznej klarowności jasnej, Iłakowiczówna traktuje zawsze owego dziecięcego czytelnika jako poważną osobistość dorosłą.

Myliłby się jednak ten, kto ową — cechującą w sposób tak znaczący wiersze Iłakowiczówny zebrane w tomie „Szeptem” — klarowność tonacji lirycznej chciałby określić jakkolwiek granicą między odbiorcą, a tym bardziej kryteriami oceny stosowanymi wobec wierszyków dla dzieci. Poezja Iłakowiczówny zebrana w tomie „Szeptem” jest świadectwem tego typu krystalicz-

nej jasności i precyzji słowa, wyrażającego własny świat doznań i przemysłów, do jakiego doszli w swoich ostatnich utworach Leopold Staff czy Jarosław Iwaszkiewicz.

Najlepiej wyraża to wiersz Iłakowiczówny „Pod koniec”:

Bezmiar dąwamy wśród piasków zasypujących ślady;
siła, która się wzmacnia;
przejrzystość, która wzrasta...
I tylko serce — za słabe!

Jest rzeczą oczywistą, że tej do krainowości posuniętej świadomości własnych formuł poetyckich towarzyszy też teraz zwielokrotniona funkcja doświadczenia życiowego, uspokojonej współczującej refleksji oraz mądrości spraw ostatecznych człowieka. One też górują nad innymi, pośrednimi i pobocznymi, niekiedy sprawami, choćby nad samym poetyzowaniem. Kazimiera Iłakowiczówna coraz bardziej koncentruje przeto teraz uwagę na motywach rozrachunku z życiem.

Ten motyw przesadza przeto także o tonacji elegijnej, zastosowanej przez poetkę świadomie dla podkreślenia sytuacji współczesnego człowieka wprzegnietego w tryby cywilizacji technicznej... Kazimiera Iłakowiczówna daleka jest jednak od dramatyzowania tej sytuacji. Właśnie w tych wierszach pojawia się u niej nuta żartobliwego dystansu, poczucie proporcji i rzeczywistości.

Pozostaje pytanie, czy można do słownie odczytywać owe pojawiające się w jej poezji motywy biblijne czy modlitewne?

Nigdy też bodaj dotąd nie zazna- czyło się w poezji Kazimierzy Iłakowiczówny tak wyraźnie, i tak zarazem boleśnie, poczucie niedoskonałości własnych dokonań; i nigdy też nie umysłowała sobie poetka tak jasno krótkości czasu („te pare chwil”), „aki pozostał jej do wypełnienia zamierzeń... Stąd to w jej nowych wierszach tyle zwierzeń, tyle przestróg przekazywanych innym wreszcie tyle pogodnego humoru, który poświęciła Poznaniowi.

Tom Iłakowiczówny „Szeptem” można więc traktować jako inwentarium całego unrwanego przez nią poetyckiego ogrodu i jako przesłanie dla następów, wywiedzione już jakby z owego drzewnego tła krajoznawstwa, z którym poetka pragnie się utożsamiać i w nim znaleźć ostateczne ukojenie.

O tę też nutę prostą, wyrozumiałą i współczującą zadumy nad czasem, ugruntowanej świadectwem refleksji nad własnym życiem, poezja Kazimierzy Iłakowiczówny, zaprezentowana w tomie „Szeptem”, jest tak wzbogacającą odnowioną i zarazem tak konsekwentnie wynikającą z jej poprzednich doświadczeń poetyckich.

Kazimiera Iłakowiczówna: „Szeptem”. Czytelnik, Warszawa 1966, str. 152, 4 nrb.

Jeden z wielu Polaków

Dokończenie ze strony 1

runek przy magazynie zbrojeniom. Uzbroliliśmy ludzi a następnie opanowaliśmy pocztę, więzienie itd. Rano miejscowe władze stały przed faktem dokonanym — w mieście panowali bolszewicy. Zebranie ludności wybrało następnie Radę Rewolucyjną, której przekazałem swoje uprawnienia. Przewodniczącym Rady został Fiedorow.

W połowie stycznia 1918 r. wróciłem do Pskowa i w dalszym ciągu pracowałem w sekcji agitacji i propagandy „Wierchosiewu”.

Jeszcze raz losy Michałowskiego skrzyżowały się z historią miasta, w którym zakładał on podwaliny władzy radzieckiej. Tym razem w okresie ofensywy Niemców, opór którym stawiali nowo zorganizowane oddziały Czerwonej Gwardii i Czerwonej Armii. Michałowski został w tym czasie wysłany ponownie do Ustjuzna celem wzmocnienia w tym mieście i powiecie nowej, rewolucyjnej władzy. W uznaniu jego zasług wybrano go pierwszym, honorowym obywatelem miasta.

Po zawarciu traktatu z Niemcami w Brześciu Michałowski ruszył na poszukiwanie swej rodziny. Odnalazł ją w Mołodecznie. — Po objęciu tych terenów w 1920 r. przez władze polskie zostałem ze względu na lewicowe poglądy — zwolniony z pracy w warsztatach kołchozów, gdzie pracowałem jako ślusarz. Do roku 1939 nie mogłem uzyskać żadnej stałej pracy mój...

Dzisiaj gdy z okazji 50 rocznicy Wielkiej Rewolucji Październikowej przypominamy zarówno sylwetki jej wielkich twórców, jak i szeregowych uczestników warto przypomnieć losy Michałowskiego jednego z licznych Polaków, którzy wprowadzali w czyn hasło rewolucji rzucone przez Lenina.

Opracował: Z. R.

Z wizytą u Doxy

Korespondencja ze Szwajcarii

Szwajcarskie miasteczko Le Locle, leżące w górystej części kantonu Neuchatel na wysokości 930 m, słusnie zwane jest kolebką przemysłu zegarmistrzowskiego.

Szybkiemu rozwojowi Le Locle dał początek pewien młody człowiek nazwiskiem Daniel Jean-Richard. Oniś, a było to w roku 1667, kiedy Daniel liczył sobie lat 15, w jego rodzinnej wiosce La Sagne zjawiał się handlarz koni imieniem Peter. Miał on zegarek wyrobu londyńskiego. Wszyscy podziwiali cudowny mechanizm, który jednak po pewnym czasie odmówił posłuszeństwa. Peter zwrócił się o naprawę do zdolnego ucznia kowskiego, Daniela Jean-Richarda. Daniel Richard naprawił zegarek. Ale kiedy rozebrał go na części, postanowił sobie zrobić podobny. Na realizację tego zamiaru potrzebował dwa lata żmudnych poszukiwań i wytężonej pracy. Tak zaczął robić zegary i nauczył tego swoich braci i przyjaciół. W roku 1705 przeniósł się do Le Locle, gdzie założył pierwszą manufakturę zegarmistrzowską.

Dziś w Le Locle i pobliskim La Chaux-de-Fonds istnieje dwadzieścia kilka fabryk zegarków. Wymieńmy tylko kilka z nich: Cyma, Doxa, Marvin, Movado, Tissot, Zenith. Firmy dobrze znane w naszym kraju.

Być w Le Locle i nie zwiedzić fabryki zegarków? Ale która? Wybór rzeczywiście niełatwy. Decyduje się na Doxę. Po halach fabrycznych oprowadza mnie dyrektor techniczny Jean Robert. Hale fabryczne przypominają laboratorium naukowe. Precyzyjny przemysł zegarmistrzowski wymaga specjalnych warunków produkcji. Stała temperatura, stałe nawilgotnienie, stałe nasilenie światła, czystość powietrza — to tylko kilka zasadniczych wymogów. Produkcja w zakładach Doxy przebiega w trzech etapach. W pierwszym odbywa się kontrola części pochodzących od dostawców kooperujących. Służą do niej nowoczesne optyczne i elektroniczne aparaty pomiarowe, jak np. ampliscript-chronograficzny sporządzający niejako „elektrokardiogram” działania dane-

go mechanizmu: wibrograf czy mikroskop — projektor, powiększający do 2 tysięcy razy, itp. W drugim rzucie następuje montaż werku, a w trzecim montaż całości i kontrola końcowa gotowego zegarka.

Po zwiedzeniu hal produkcyjnych wchodzimy do piwnic, gdzie mieszczą się specjalne magazyny chłodnicze. Przechowuje się tu gotowe zegarki w temperaturze minus 7 stopni. Przed wysyłką wyjęte z chłodni zegarki przez 24 godziny „odmrażają” w temperaturze plus 22 stopnie, a następnie wędrują w świat.

Zakłady Doxy założone zostały w roku 1889, za dwa lata więc będą obchodzić 80-lecie swego istnienia. Po zwiedzeniu zakładów prośbę o kilka informacji dyrektora handlowego fabryki, p. Urs Eschle.

Produkcja Doxy wynosi rocznie około 80 tys. zegarków o wartości 10 mln franków szwajcarskich. 20 proc. produkcji stanowią zegarki automatyczne, a resztę nakręcane. 90 proc. produkcji idzie na eksport. Poważnym partnerem handlowym Doxy są kraje socjalistyczne, a przede wszystkim Jugosławia, Węgry, Polska i Rumunia. Zakłady utrzymują kontakty z radzieckim przemysłem zegarmistrzowskim. Wymienione też zostały delegacje.

Dyrektor Eschle pokazał mi szereg najnowszych modeli specjalnych zegarków Doxy. Była wśród nich tzw. „Doxa sub 300” odporna na wstrząsy, wytrzymująca ciśnienie 30 atmosfer i wodoszczelna, z którą nurek może się zanurzyć na głębokość 300 m.

Naszych lekarzy zainteresuje zapewne nowy model Doxy nazwany „Sfymos”, zaopatrzony w pulsometr. Pokazuje on częstotliwość pulsu pacjenta po zastopowaniu zegarka po dwudziestu uderzeniach pulsu.

Mała Szwajcaria jest uznaną potęgą w dziedzinie przemysłu zegarmistrzowskiego. Jej roczna produkcja zegarków sięga 60 milionów sztuk. W I kwartale br. Szwajcaria wyeksportowała prawie 14,5 mln zegarków za kwotę 466 mln franków szwajcarskich.

J. M.

Spełnione marzenia!

Dokończenie ze strony 1

o! Mimo to miejscowa prasa niemiecka nadal odgrażała się, że „nadszedł jeszcze dzień sprawiedliwości”.

Gdy w mieszkaniu mecenasa O. zamykałem jeden z trzech kilkusetstronicowych tomów akt tamtych rozpraw, kiedy odkładałem na bok fotokopie szeregu dokumentów, mimowoli nasunęło się pytanie: a co było później, po roku 1933?

Na ten temat można by w Opolu rozmawiać jeszcze dzisiaj z wieloma ludźmi, z tymi, którzy przeżyli hitlerowskie piekło i doczekali się dziejowej sprawiedliwości. Na szczęście — ta zapowiadana przez szowinistycznych sprawców i prowodyrów opolskiej masakry trwała bardzo krótko.

„Smętkowie” pokazali siłę

Kiedy w rozmowach z różnymi ludźmi wracałem do sprawy autochtonów i ich „życiorysów” z okresu poprzedzającego wojnę, a nasilania się hitlerowskiego terroru po roku 1933, zawsze powtarzano mi dwa nazwiska: Jana Wawrzyńka i Alojzego Smółki. Popróbowałem więc nawiązać z nimi kontakty, by w bezpośrednich rozmowach ustalić sto-

pień faszystowskiego bestialstwa w stosunku do rdzennie polskiej ludności Opola. Niestety, nie miałem szczęścia. J. Wawrzynek okazał się pacjentem miejscowego szpitala zaś A. Smółka właśnie miał zacząć partynę zebranie, gdy zameldowałem się w sekretariacie Teatru Lalek, którego od wielu lat jest kierownikiem artystycznym. Widać, pozostał wierny przedwojennym umiłowaniom. Wszak już wówczas, mimo narastających trudności i przeszkód, właśnie poprzez teatr krzewił i podtrzymywał polskość wśród opolan. To on założył przed wojną opolski teatr lalkowy.

Tak więc mimo licznych szyszan, katologii w obozach koncentracyjnych, J. Wawrzynek, A. Smółka i wielu innych przeżyło okupacyjną noc. Hitlerowcom nie udało się załamać lub wyniszczyć polskich patriotów, którzy wiele lat swego życia poświęcili na głoszenie prawdy o ziemi, którą zamieszkiwali. W więzieniach i obozach, w wygnaniu — starali się przetrzymać, przeżyć.

Bezpośrednio po wojnie, gdy tylko nadarzyła się okazja, wracali na swoją ojczyznę. I tutaj — jak pisze w swych pamiętnikach Wojciech Wawrzynek, brat Jana, — „(...) stali się katalizatorami narastającego na ziemi nadodrzańskiej patriotyzmu,

dumy narodowej, poczucia jedności z resztą ojczyzny”.

Pierwszego dnia pobytu w Opolu, w rozmowie z przewodniczącym Prezydium MRN, Henrykiem Taborem, zagadnąłem o sprawy integracji i asymilacji ludności w samym mieście.

— Jeszcze krótko po wojnie pozostawało w Opolu kilkanaście procent ludności rodzimej. Na terenie województwa, zwłaszcza we wsiach, procent ten był i jeszcze dzisiaj jest wyższy. Jest to chyba uzasadnione tym, że ludność miejska bardziej była narażona na represje władzy hitlerowskiej. Być może dlatego, że do naszego miasta napływali osiedleńcy z różnych rejonów kraju, proces asymilacji i integracji przebiegał tu dość szybko. Dzisiaj trudno już kreślić linię między ludnością rodzimą a napływową. W ciągu 22 lat zawarto bowiem w Opolu 11 528 małżeństw, urodziło się w tym mieście po wojnie 31 000 obywateli, czyli ponad 30 procent ogółu obecnej liczby mieszkańców.

Nie trudno było wyczuć w wypowiedzi przewodniczącego nutkę, że starzy i młodzi opolanie cenią szczególnie tych, którzy jak Jan Wawrzynek i jemu podobni zasłużyli się — w najtragiczniejszych latach — dla sprawy zachowania polskości tej ziemi. To także jedna z tych nici, które przyczyniły się do szybkiej integracji polskiej społeczności.

EUGENIUSZ COFTA

Przeglądamy Prasę

Dzisiaj głównie o ludziach, o tym, jak starają się sobie wzajemnie pomagać, by działać lepiej i sprawniej w imię społecznego dobra. To temat dotyczący także prasy. Relacjonowaliśmy na tym miejscu kilka razy wypowiedzi w ankiecie „Polityki” pt.

CZY PRASA POMAGA?

Obecnie Dariusz Fikus podsumowuje tę ankietę, przypominając, że pytania jej skierowano przede wszystkim do ludzi, którzy zarządzają gospodarką. Wyowiedziało się 12 kierowników najważniejszych resortów gospodarczych. Autor podsumowania stara się wyciągnąć ogólniejsze wnioski, rozpatrując odpowiedzi uczestników na poszczególne pytania. Tutaj, ze względu na szczupłość miejsca, możemy przedstawić tylko niektóre uwagi.

Warte podkreślenia jest to, że odpowiadający byli zgodni, iż ostatnie lata przyniosły wyraźną poprawę poziomu

publicystyki gospodarczej, iż prasa ma poważny udział w wychowywaniu ekonomicznym społeczeństwa, iż w wielu wypadkach stanowi odbicie poglądów szerokiej opinii publicznej. To jednakże tylko jedna strona tej kwestii. Bo zarazem w ankiecie znalazła wyraz duża lista pretensji do prasy. Tu warto odnotować, że często ci sami ludzie, którzy nierzadko inspirowali prasę do organizacji określonych kampanii tematycznych skarżyli się na niewłaściwe proporcje tematyczne w prasie, na to, że artykuły gospodarcze chodzą w prasie stadiami (np. raz o gastronomii, kiedy indziej o inwestycjach itp.).

Mimo to zgodzić się jednak trzeba z takimi postulatami, jak te, że:

— publicystyka ekonomiczna winna objać równomiernie wszystkie działy gospodarki, z uwzględnieniem wszystkich regionów kraju;

— publicystyka stanowi pomost między opinią społeczną a kierownictwem gospodarczym. Dlatego powinien istnieć ścisły związek między jej tematyką a zainteresowaniami czytelników. Chodzi o takie sprawy, jak problematyka warunków podnoszenia stopy życiowej i za spokojenia potrzeb społecznych — (przypr. Lekt.).

— pogłębienie analiz i praktyczne nasświetlenie zjawisk gospodarczych musi łączyć się z doskonaleniem form, warsztatu i fachowości dziennikarzy”.

Oto zadania, na tyle poważne, że każdy piszący o sprawach gospodar-

czych zgodzi się zapewne z konkluzją Fikusa, który pisze:

„Zadajemy sobie sprawę, że przed publicystyką gospodarczą otwiera się ogromne pole działania, że musi być nie tylko pryncypialna, ale jeszcze do tego osobista, nie tylko słuszną, ale odpowiedzialną, pisaną z pasją i talentem”.

Ten postulat dyktuje właśnie interes społeczny, a w tym przypadku także interes czytelników prasy.

Również szeroko pojętym interesem społecznym kieruje się Jerzy Lovell w swoim „Reportażu w światłach wielkich i małych” zamieszczonym w „Życiu Literackim”.

DZIAŁANIE DLA SPOŁECZEŃSTWA

Na przykładzie sytuacji w dwóch powiatach — jeleniogórskiego i nowosądeckiego, znanych od lat z przejawów inicjatywy terenowej, autor rozważa sprawę roli miejscowej inteligencji i jej postawy wobec potrzeb regionu. Lovell wyraża pogląd, że fałszywa jest opinia o ludziach, którzy się zdarli, jakim to miarom określa się tych społeczników, co to podobno zmoczyli się działaniem, spokornie i zgodzili się na spokój, odstąpili od aktywnej pracy społecznej. Przykład zwłaszcza jeleniogórskiej inteligencji, która była inicjatorem zorganizowania Towarzystwa Klubów Robotniczych i Chłopskich, a więc przykład tej inteligencji, która swą inicjatywą zmie-

rza do działania nie tylko dla siebie ale dla całego społeczeństwa — każe Lovellowi sformułować taką oto tezę:

„Przyszła przecież nowa fala inteligencji — młodej, myślącej, konkretnej, z ducha socjalistycznej; ta fala będzie wzrastała przez najbliższe lata, i nie urządzi jej tylko elitarne kluby i drogie restauracje, tylko telewizory, tylko samochody. Chęć odnieść swój ślad w społeczeństwie, zmienić go na lepsze. Chęć mieć styczność z wielkim światem ludzkich poczyną, a nie tylko uprawiać swój technicyzyczny ogródek. Swoją małą szałwę, który może stać się złotą klatką, miejscem wygnania, społecznego osamotnienia...”

A w praktyce idzie o to, żeby dostrzegać to nowe zjawisko, sprzyjać takim grupom aktywnej inteligencji w ich próbach podejmowania działalności na rzecz społeczeństwa, a więc wychodzić naprzeciw społecznemu odczuciu i potrzebom.

Podobnym właśnie przeświadczeniem kieruje się Eugeniusz Wojnar, który w „Prawie i Życiu” publikuje artykuł pt.

... PO LUDZKU...

Autor dostrzega potrzebę przestrzegania kultury wobec osób, którym przychodzi odwiedzać sąd czy prokuraturę. To też urzędy, a w dodatku właśnie w

nich przewija się moc przeróżnych spraw ludzkich. Przy tym Wojnar jest zdania, że w tych urzędach ludzie, niestety, nie spotykają się z takim przyjęciem „jakiego wymagają zasady współżycia społecznego w Państwie Ludowym”. Przytaczając sporo przykładów, dobrze znanych tym, którzy mieli kontakty z organami wymiaru sprawiedliwości i ścigania karnego, autor stwierdza:

„Stosunek sędziego czy prokuratora do człowieka w sądzie, który przecież nie zawsze tam trafia jako przestępca, wymaga stałej samokontroli, krytycznego spojrzenia, wymaga przypomnienia ze strony przełożonych konieczności właściwego odnoszenia się do ludzi spoza sądu(...) rozumie się samo przez się, że nie wszystkie próby zgłaszającego się mogą być załatwione pozytywnie, często stają temu na przeszkodzie względy formalne i rzeczowe, ale na pewno można przyjąć każdego interesanta w sposób godny powagi i znaczenia wielkiej funkcji społecznej spełnianej przez pracowników tych urzędów”.

LEKTOR

P. S. Często i na naszych łamach cytowany tygodnik społeczno-oświatowy „Głos Nauczycielski” obchodził swój wielki jubileusz — 50-lecie. Z racji tego niezwykłego wydarzenia także nasza redakcja dołącza najlepsze życzenia.